


Nr. 29. Poznań, dnia 19 Lipca 1879. Rok II.

# PROŹBA
## o pomnik dla
# Słowackiego i Krasińskiego
## w Poznaniu.

Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij ty o nas! o wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska,
Pacierz co płacze i piorun co błyska.
*J. Słowacki.*

Wznosi się w Poznaniu przy kościele ś. Marcina pomnik Adama Mickiewicza. O ile wiemy, jestto dotąd jedyny pomnik w większych rozmiarach, wzniesiony na ziemi polskiéj ku uczczeniu tego wielkiego wieszcza.

Nie mają dotąd pomników ani w Poznaniu, ani w całéj obszernéj Polsce — dwaj bracia Mickiewicza po lutni: Słowacki i Krasiński. A przecież i oni wielką miłością Ojczyzny, zasługami o literaturę i język polski, oraz cierpieniami zdobyli sobie zaiste prawo, aby i o nich wspomnieć, aby i ich uczcić jakąkolwiek trwałą pamiątką!

Jeszcze późne polskie pokolenia wspominać ze czcią będą imiona tych trzech wielkich wieszczów, którzy w czasach wielkiego zwątpienia zażegli święty ogień poezyi ojczystéj, budząc w sercach rodaków wiarę i nadzieję szczęśliwszéj przyszłości.

Ich to głównie usiłowaniom zawdzięczamy, że język polski jest dziś pierwszym między słowiańskiemi, oraz że za ich głównie sprawą zajął poczesne stanowisko między europejskiemi językami.

Choćby przyjść miało do tego, że mowa polska przestałaby być żyjącą, to nie zaginą bynajmniéj wielkie arcydzieła naszych mistrzów, gdyż czytać je i tłumaczyć będą obce narody, oraz podziwiać ich cudne piękności.

W roku bieżącym upłynęło trzydzieści lat od zgonu Słowackiego, dwadzieścia zaś od zgonu Krasińskiego — a na „ich mogiłach zaległa cisza, że się wydaje przez Boga przeklętą.“

Czasby może był przypomnieć ich znowu Polsce. Dzielnym środkiem ożywienia ich pamięci mogą być odczyty, wydawnictwa ich dzieł, a mianowicie popularne, oraz uroczyste obchody dni ich zgonu, atoli nie należy zapominać i o pomnikach.

Wyrodziło się u nas mniemanie, że pomnik z marmuru lub jakikolwiek inny nie jest odpowiednim środkim uczczenia pamięci wielkich i zasłużonych naszych mężów, a mianowicie w dzisiejszych opłakanych, smutnych czasach. Lepiéj, powiadają, użyć tych pieniędzy na wsparcie potrzebujących, których dzisiaj tak wiele, a mianowicie na pomnożenie funduszu Towarzystwa Pomocy Naukowéj i podobnych instytucyi.

I jedno czynić a drugiego nie opuszczać. Chrystus nie zganił niewiasty, która drogim olejkiem jego nogi skropiła, choć Judasz sarkał, że te pieniądze można było rozdzielić między ubogich.

Mogiła Kościuszki, złota kaplica w tumie poznańskim i inne widome pomniki ileż wywarły zbawiennego wpływu!

Niechże tedy szlachetne serca polskie, które chowają wdzięczną pamięć dla wieszcza Irydyona i śpiewaka Kordyana i rozkoszują się w ich cudnych pieniach, nie zrażają się obojętnością i przeciwnemi głosami zniechęconych ludzi, ale, owszem niech z wiarą i nadzieją przyłożą rękę do pięknego dzieła, a staną pomniki dla Zygmunta i Juliusza w naszym starosłowiańskim grodzie.

Poznań to podobne jedyne większe miasto polskie, które widziało w swych murach tych trzech naszych wieszczów. Mickiewicz przebywał tu 1831 r., Krasiński 1844 r, a Słowacki 1848 r.*)

Jeżeli zatem już wznosi się w naszym grodzie pomnik

*) W Krakowie nie był za życia Słowacki ani Mickiewicz, w Warszawie nie był Mickiewicz, Lwów nie widział Słowackiego i Mickiewicza, w Wilnie zdaje się nie był Krasiński, a tak tylko jeden Poznań gościł w swych murach tych trzech pierwszych polskich poetów.

na cześć Mickiewicza — słuszna aby w logiczném następstwie i Krasiński z Słowackim doczekali się u nas podobnego odznaczenia.

Nie jest to tak trudną rzeczą, jak się może zdaje. Wszak już poruszono myśl, aby wystawić pomnik Słowackiemu przed teatrem polskim w Poznaniu. Zbierano nawet na ten cel składki — dobrzeby było, aby osoby tą sprawą się zajmujące, zdały sprawę z dotychczasowych usiłowań. Początek już tedy zrobiony.

Myśl ta z pewnością niedługo w czyn się zamieni, jeżeli nasze zacne Polki wezmą ją w swoję opiekę. Można mieć zaiste nadzieję, że szlachetne nasze Wielkopolanki, które tak pięknie uczciły piędziesięcioletni jubileusz Kraszewskiego, zechcą pamiętać także o tych, których już nie ma na ziemi — o Juliuszu i o Zygmuncie.

Gdybym wiedział, że głos ten dojdzie do wiadomości Polek, poprosiłbym je serdecznie o zajęcie się wykonaniem myśli wzniesienia pomnika Krasińskiemu i Słowackiemu w Poznaniu, atoli głos biednego „Lecha“, rozchodzący się tak ledwie jak „kręgi na wodzie po wrzuconym do niéj kamieniu,“ zginie bez echa, nie doszedłszy do wiadomości ogółu.

Aleć taki los wszystkich zamiarów, projektów. Zacny X. Siwicki jeszcze przed 1840 r. poruszył myśl wzniesienia pomnika Klonowiczowi w Sulmierzycach i zebrał nawet na ten cel fundusz, a dopiero 1861 r. myśl ta w czyn się zamieniła.

Wielbicielkom i wielbicielom cudnych poezyi Krasińskiego i Słowackiego, pragnącym uczcić ich pamięć, otwiera „Lech“ swoje łamy, i prosi, aby o téj sprawie pisać chcieli. Prosimy!

# GRÓB RODZINY REICHSTALÓW.

Powieść oryginalna
**z dziejów wojny trzydziestoletniéj.**
Przez
*Zygmunta Krasińskiego.*

## IV.

A wy dla znaku pierścień tylko nieście,
Nie trzeba więcéj, skoro ujrzy godło,
Pozna kto jestem . . . . .
*A. Mickiewicz — Grażyna.*

Kapitan de Reichstal wracał spokojnie na dzielnym koniu do wsi Leitmeritz*) gdzie stał pułk w którym służył. Z rana jeszcze wyjechał na łowy a zmęczony spieszył do niedalekiego pomieszkania. Już noc oblekła niebo, a xiężyc bielił swemi promieniami ciężkie chmury zimowe. Na około ziemia śniegiem błyszczała, a gdzie niegdzie szronem ubielone drzewo wznosiło się wśród pola. Jechał Alan zatopiony w myślach. Przy siodle dwóch zabitych zajęcy wisiało a kordelas strzegł boku. Igrał wiatr z piórem czarnem wznoszącém się nad czapką. Czasami powstał wicher i tumanami śniegu oczy konia i jeźdzca zasypywał. Zimno wzrastało stopniami. Wtem chmury złączywszy się, zakryły xiężyc. Niedaleka wieś Leitmeritz znikła z oczu Alana, a śnieg gęsty padać zaczął.

W téj saméj chwili usłyszał za sobą tentent rozpędzonego konia; odwrócił głowę i rozeznał wśród ciemności jakąś czarną postawę zbliżającą się do niego. Mimowolnie prawie dotknął się kapitan pistoletu i wyjął go z zapasa. W tych bowiem czasach nieszczęść i wojen, na każdego zwracało się podejrzenie, osobliwie jeszcze kiedy noc i burza sprzyjały zamiarom zbrodniarzów. Stanął po chwili przy Alanie człowiek wysokiego wzrostu obwinięty futrem i silnym zawołał głosem:

— Kto jesteś? czy przyjaciel poczciwych ludzi, czy zbójca, lub protestant?

— Jestem wojskowym, odparł Alan, i chciałbym wiedzieć czego się tak błąkasz po nocy?

— Czy daleko do wsi Leitmeritz?

— Nie mogę o tem sądzić, bo znikła mi z oczu, ale zdaje mi się, że nie ma więcéj jak ćwierć mili.

— Czy tam stoisz Mości Panie wojskowy?

A tobie cóż do tego, twoje pytania już mnie nudzą. Jedź naprzód lub obierz sobie inną drogę.

— Moją drogą jest droga wiodąca do Leitmeritz, ale przebacz mi, jeszcze jedno zapytanie: Czy nie wiesz w jakiéj stronie wsi stoi kapitan Alan de Reichstal?

— Kapitan Alan de Reichstal? powtórzył zadziwiony młodzieniec. A z jakiemiż do niego jedziesz zamiarami?

— O tem ani słówka więcej Mości wojskowy. Ale oddaj mi, proszę usługę, którą każdy poczciwy człowiek bliźniemu wyświadcza, to jest: wskaż mi drogę do wsi i powiedz gdzie w niej mieszka kapitan Alan de Reichstal.

Nie mógł już wytrzymać niecierpliwy Alan i krzyknął: Ja nim jestem! a porwawszy za cugle konia towarzysza, zatrzymał go i pytał się czego po nim żąda?

— Trzeba mnie o tem jeszcze przekonać, odparł spokojnie nieznajomy, nie mam w zwyczaju we wszystko i wszystkim na ślepo wierzyć.

Do tysiąca piorunów, uparty człowiecze mówię ci, że jestem Alanem de Reichstal kapitanem w pułku Lichtensztajna, synem Adalberta de Reichstal mieszkającego w Egrze. Cóż chcesz więcej?

Zaczynam już wierzyć, ale to jeszcze nie dosyć. Proszę mi powiedzieć jaki jest herb Reichstalów?

To już zanadto żeby mnie nie wierzyć, że ja jestem sobą samym! zawołał rozgniewany młodzieniec.

Patrzże niewierny, patrz i to mówiąc wyciągnął lewą rękę, na palcu któréj miał bogaty pierścień ze swoim herbem, prawą odwiódł kurek u pistoletu a przyłożywszy go blisko twarzy nieznajomego wystrzelił. Przy chwilowéj światłości sprawionéj przez ogień wybuchający, poznał nieznajomy trzy topory godło rodziny Reichstalów i wyczytał imie Alana na pierścieniu.

Poznaję cię teraz, poznaję i twarz już dawno niewidzianą i herb twych mężnych przodków. Witam cię kapitanie, ale spieszmy się, nie mamy ani chwili do stracenia, leémy do Leitmeritz, żebyś tylko prędzéj mógł przeczytać list od siostry.

Od Minny, zawołał Reichstal, mam nadzieję że nic jéj się nie stało.

*) Po czesku Litomierzyce. Przyp. Red. „Lecha.“

We wielkiém jest niebezpieczeństwie i zaraz mam odjechać z odpowiedzią twoją, ale spieszmy się do wsi.

Nie trzeba wsi, na przeczytanie jéj listu, krzyknął Alan. Zeskoczył z konia, wyjął z worka wiszącego przy siodlę trochę siana, otoczył niewielką stojącą przy drodze sosnę, a dobywszy drugiego pistoletu w nią wystrzelił. Przybitka rozogniona padła na siano, które się zajęło jasnym płomieniem. Z początku wilgoć i śnieg odpierały moc ognia, ale jednak wkrótce zapalił się pień przepełniony żywicą i oświecił szeroko pole na około siebie. Wyrwał Alan list siostry z rąk towarzysza, zdarł pieczęć i czytać zaczął. Wzywała dziewica jego pomocy. Zaklinała żeby przybył ją uratować i wyrwać z rąk Wallenszteina.

Ale poznał z daty listu i z opowiadania siostry, że właśnie dzisiajszego dnia minął nieszczęsny tydzień. Obrócił się do towarzysza i rzucił się na niego.

— Niegodziwy! już zapóźno, zawołał, czemuż prędzéj mi nie doniosłeś tych nieszczęśliwych nowin?

W jednym dniu mogłeś tu przyjechać a cały tydzień upłynął od czasu jak cię moja siostra wyprawiła. Nie sądź tak porywczo Mości kapitanie. Wszystkich bram Egry strzegą żołnierze Wallenszteina i przetrząsają wszystkich przejeżdżających. Kilka dni zeszło nim znalazłem sposobność przejścia tajemnie przez Austryackie straże. A zresztą zdaje mi się żem i tak dosyć się dla was poświęcił.

Przepraszam cię, odpowiedział Alan, skoczył mu do szyi, dziękuję ci tysiąc razy za to coś zrobił dla niéj. Ale może już ją przymusili. Nie mogę tracić czasu.

To mówiąc oderwał kawał papieru czystego z listu siostry, napisał na nim kilka słów ołówkiem i oddał towarzyszowi. Weź mego konia rzekł rozkazującym głosem. Twój nie tak zmęczony mnie służyć będzie. Ale się obrócisz na lewo, pojedziesz do Leitmeritz i oddasz to pismo pułkownikowi Lichtensztein. Ja zaś polecę do Egry wyrwać siostrę z rąk niegodziwych. A teraz żegnam cię i dziękuję ci raz jeszcze. Dokończając tych słów rzucił mu sakiewkę napełnioną złotem.

Wzdrygnął się ją przyjąć nieznajomy. Ubogi jestem, rzekł Robert Dociusz ale nie potrzebuję nagrody za czyn cnotliwy. Nieraz twój ojciec już świadczył.....

Weź Robercie, weź krzyknął Alan, bo inaczéj rzucę te pieniądze w rów ten głęboki. To mówiąc nabił pistolety, skoczył na dzielnego rumaka i w jednéj chwili zniknął z oczu Dociusza.

V.

Ach! i to jest widok srogi
Kiedy piękność w życia kwiecie
Ledwie wschodząca na świecie
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem.
*A Mickiewicz* Dziady.

22 Listopada 1620 skończył się tydzień po którego upłynieniu miała córka Adalberta de Reichstal oddać rękę Hrabiemu Wallensztein. Nazajutrz wieczorem mieszkańcy Egry zdziwili się niespodzianym widokiem. Pułkownik Wallensztein na czele 40 dobranych ze swego pułku żołnierzy jechał przez miasto. Czapka, z wzbijającemi się ku niebu pióry, okrywała mu głowę. Płaszcz podbity sobolowem futrem ulatywał na około. Szabla błyszcząca drogiemi kamieńmi wisiała u złotolitego pasa. Złote ostrogi strzegły nóg opierających się na srebrnych strzemionach. A na szyi obwijał się złoty łańcuch, utrzymujący medal Cesarza Niemiec. Koń biały w przepysznych, lśniących się szafirami i szmaragdami rzędach, zwolna postępował, dzielną kierowany prawicą. Za nim żołnierze na pięknych rumakach jaśnieli świetnemi ze stali kirysy. Z ich środka wznosiła się chorągiew rozwita i puszczona na igrzysko wiatrom. Dwóch zaś jeźdźców w srebrnych chełmach, w srebrnych pancerzach jechało obok pułkownika. Jeden z nich na miedzianéj tacy utrzymywał koronę świetną połyskującemi dyamenty i wieniec z róż kolorowych uwity, drugi zaś na aksamitnéj poduszce miał drogie zausznice, perłowe naszyjniki i inne ozdoby. Z takiemi więc dary jechał Wallensztein po piękną oblubienicę. Za tym orszakiem ukazał się sędzia Egry w długiéj czarnéj sukni. Czworograniasta czapka kryła sędziwą głowę. W prawéj ręce trzymał laskę z jabłkiem złotem, a w lewéj pargamin zawierający układy przedślubne, na którym z jednéj strony była pieczęć Wallensztejnów; a z drugiéj Reichstalów.

Wszyscy zatrzymali się na wzgórku przed domem Astrologa. Żołnierze uszykowali się w półkole. Skoczył na ziemię niecierpliwy ich dowódzca. — Porwał za rękę sędziego i wszedł w podwoje Adalberta. Za nim szli dwaj towarzysze niosący dary dla Minny. Sędziwy Reichstal przyjął ich w tym dniu uroczystym z powagą, przyjął z twarzą przypominającą więcéj świetność i sławę swego narodu, niż Alchimię, gwiazdy, i starożytności greckie lub rzymskie. Ale w wielkiéj sali nie było jeszcze Minny.

Opuścił więc Adalbert gości i przyspieszonym krokiem udał się do komnaty córki.

Miał czas Wallenstein przypatrzyć się odmianom zaszłym w szerokiéj komnacie. Nie widać było już na jéj murach ani kościotrupów, ani naczyń Alchimii. Ale wszędzie herby i zbroje Reichstalów świetniały. Tu rogi jelenie dźwigały tarczę i szyszaki, tu znowu na niedźwiedzich skórach błyszczały groty i miecze. Serce mocno biło pułkownikowi. Stary sędzia spokojnie zasiadł w szerokiém krześle, rozłożył pargamin na stole, przysunął pióra i kałamarz. Wtém wrócił Astrolog z córką. Ale niktby nie pomyślał że się ona gotuje do ślubu. Nie wesele, nie słodkie uczucia radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na jéj twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jéj czerwonych oczu.

Wiódł ją ojciec za rękę jak za dawnych wieków kapłan prowadził do ołtarza ofiarę przeznaczoną bogom. Stanęła naprzeciwko Wallensztejna. Nie miała na skroniach ślubnego wianka. Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku na około śnieżnéj szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób mogłaby być znakiem godowéj uroczystości, gdyby w pół ją nie obejmowała czarna przepaska. — Długo wlepiał w nią oczy Wallenstein i nie mógł w téj dziewicy wybladłéj, poznać pięknéj, boskich niegdyś wdzięków Minny. Nareszcie zbliżył się, ukląkł i ofiarował przepyszne dary. Pomięszanym wzrokiem rzuciła na nie córka Adalberta, ale nie wyciągnęła ręki, nie schyliła głowy na znak podziękowania. Podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje. A rozpacz władała jéj sercem, władała już nie zdrowym rozumem. Znikały powoli wszystkie jéj nadzieje. W każdym świście wiatru słyszała z początku głos Alana, w każdéj osobie upa-

trywała brata, ale brat nie przybywał i sto razy na dzień omylona, już nie śmiała spodziewać się pomocy. — Postanowiła jednak w głębi serca że nie będzie żoną Wallensczteina i dochodziła już godzina, w której miała śmierć obrać lub rękę nienawidzonego męża. Widząc jéj oziębłość Wallensztein sam rozłożył swe bogate dary na stole, a ojciec zaprowadził ją do bliskiego krzesła.

Powstał wtenczas sędzia, i oświadczył że nie godzi się przymuszać niewiasty do ślubu. Ale w téj chwili silna ręka Wallenszteina ścisnęła go za ramie i w oddalony kąt pokoju zawiodła. Pospieszył za niemi Adalbert. Obieraj, po cichu lecz mocno rzekł Wallensztein, a prawicą uderzył w pałasz, lewą zaś ręką podawał ciężki worek. Nie długo wahał się sędzia a wkrótce ręka pułkownika nie spoczywała już na rękojeści szabli, ale też i w drugiéj nie było złota. W téj chwili wszyscy odwrócili się od dziewicy. Leżał na stole przed jéj oczyma nieszczęśliwy pargamin. Na ten widok jéj rozpacz nie znała już granic, a na nieszczęście postrzegła na kominie zapomnianą flaszkę przy wynoszeniu alchimicznych narzędzi. Porwała ją dziewica. Na długim papierze przy niéj wiszącym były słowa: Trucizna. Ledwo je przeczytała, już do ust przytknęła śmiertelny napój. Potém spojrzała w stronę komnaty w któréj naradzał się jéj ojciec z sędzią i Wallenszteinem; dziki uśmiech wydał jéj myśl okropną: Już nie jestem w waszej mocy. Po chwili Adalbert wrócił do stołu. Zasiedli przy nim sędzia i pułkownik. Porwał Reichstal zimną ręką Minny i połączył ją z ręką Wallenszteina.

Błogosławię was, rzekł, błogosławię moje dzieci. Doczekajcie późnych lat....

Nie doczekamy ich oboje, przerwała mu dziewica i znów do dawnego wróciła milczenia.

Nie wiedział co począć Astrolog, kiedy Wallensztein porwał za pióro i podpisał się na pargaminie. —

Poszli za jego przykładem Adalbert i sędzia. — Teraz koléj przychodziła na nieszczęsną Minnę, która już zaczynała cierpieć bole śmierć poprzedzające.

— Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. — Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. — Ojciec więc wziął jéj rękę i nią kierował. — Nareszcie nieczytelne dziewicy imie zaczerniało na pargaminie.

Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tentent prędko biegnącego konia a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny. —

To on, krzyknęła Minna i pióro wypadło jéj z ręki. — Drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. — Pióra połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, bóty okryte śniegiem, pot ciekący z twarzy, dowodziły prędko odbytą podróż. — Jego ukazanie się wszystkich zadziwiło. — Astrolog nie mógł pojąć dla czego syn przybywa na ślub siostry, kiedy o tem nawet go nie uwiadomił, bojąc się by wzruszony łzami Minny nie wyzwał Wallenszteina na śmiertelną walkę. — Pułkownik nie znał Alana i z gniewem w sercu porwał się z siedzenia i pobiegł ku niemu. — Kto jesteś, silnym zawołał głosem. Jak śmiesz tu się stawić, przed Hrabią Wallenszteinem. Jestem jéj bratem, krzyknął wściekle Alan i twoim wrogiem śmiertelnym. —

Ty moim wrogiem, odparł z uśmiechem wzgardy Wallensztein, jéj bratem szaleńcze? — Odejdź, bo cię każę pojmać. Nikogo się na świecie nie boję. — Jestem bratem téj dziewicy. — Kiedy wszyscy ją opuścili, mój pałasz zabłysnie na jéj obronę.

Chcesz ją gwałtem poślubić?

Któż ci o tem najpodlejszy z ludzi, któż ci o tem doniósł? Nie mógł już takiéj zniewagi wytrzymać Alan, dobył szabli i piorunnym zawołał głosem. — Gdyby nie ten lis, jéj oczy, jéj twarz, byłyby mi to powiedziały. — Broń się Wallenszteinie. — Krzyknęła przeraźliwie Minna, a na ten krzyk upadła żelazem zbrojna ręka Alana. — Podniosła się wtenczas z trudnością dziewica i tak do otaczających przemówiła: Wstrzymaj się Alanie, bo przybyłeś za późno. — Wstrzymaj się Wallenszteinie, bo już spełzły twoje nadzieje. — A teraz mój ojcze dowiedz się że ja napisałem list do brata, że ja mu doniosłam o mojém nieszczęściu. — Ale spóźnił się Alan a ja już uczyniłam wybór między śmiercią a tobą Wallenszteinie.

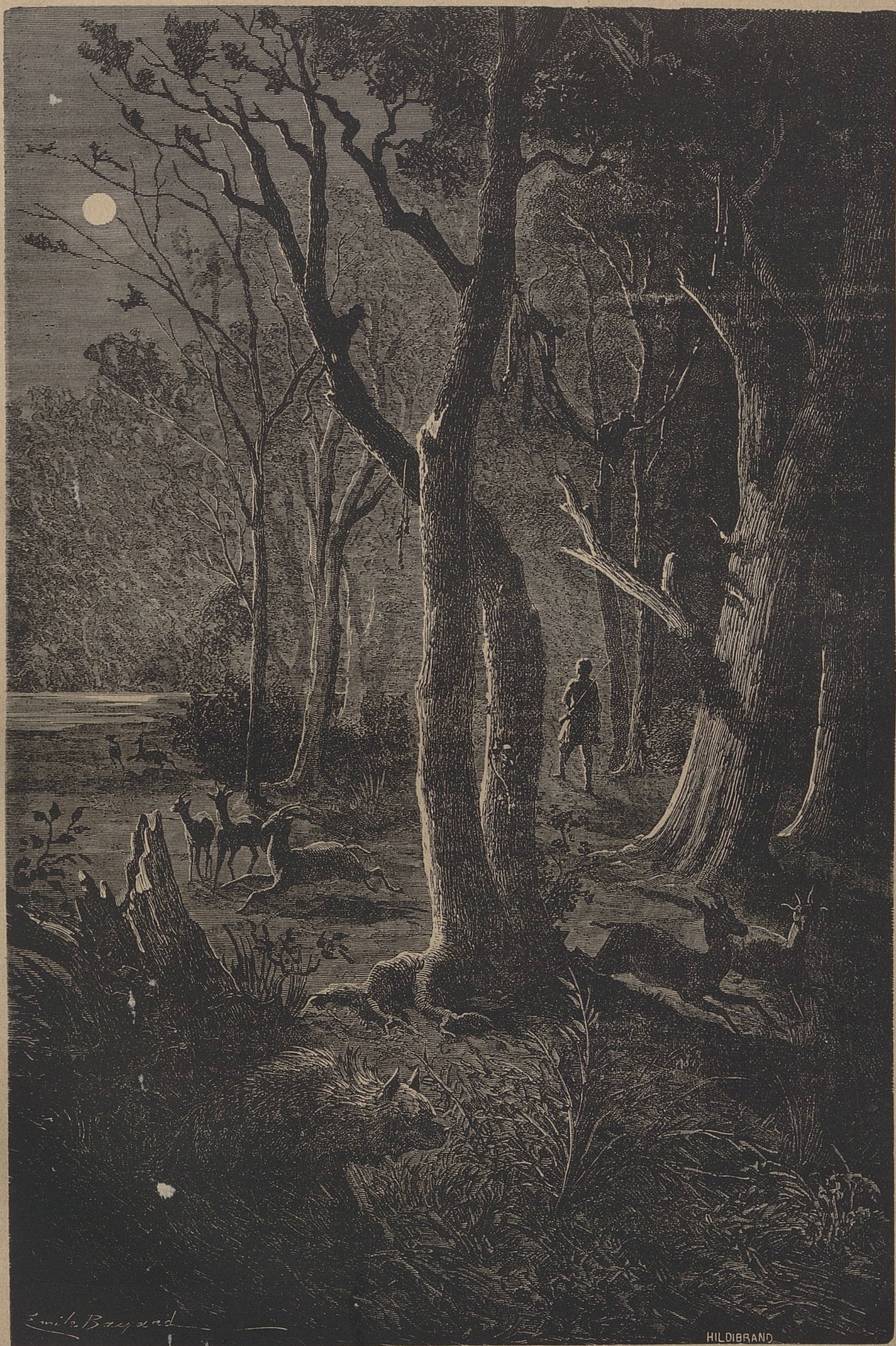
— Przysięgłam że nikt oprócz ciebie mojéj ręki nie otrzyma. — Święcie dochowałam danéj wiary. — Wypiłam truciznę. — To mówiąc wskazała ręką na komin i upadła na krzesło. — Żegnam was, dokończyła głosem przerywanym częstemi jęki, żegnam was. — Ojcze daruj winę. — Mój bracie zachowaj Minnę w twojém sercu kiedy już jéj przy tobie nie będzie — Módlcie się za mnie.

Alan przez chwilę wahał się czy utopić żelazo w piersi Wallenszteina, który stał głęboko zamyślony, czy pobiedz do siostry.

Później zdasz mi z tego rachunek, rzekł do pułkownika. — A teraz wychodź ztąd. — Nie zatruwaj jéj chwil ostatnich twoją przytomnością. — Nie, zostanę, — żadna siła nie zdoła mnie wyprzeć. — Zostań więc do szatana — krzyknął Alan i rzuciwszy dobytą szablę, pobiegł do siostry którą ściskał stary Adalbert. — Tonąc we łzach żegnali się obaj z ulubioną Minną — Ale nareszcie kapitan porwał ojca za rękę.

Ojcze, czy nie posiada twoja nauka sposobów uratowania jéj?

Nie synu, trucizna rozdzierająca jéj wnętrzności nie da się niczem uśmierzyć — Utraciłem w młodym wieku matkę, w późniejszych latach patrzałem na śmierć Fatymy, a teraz ginie moja nadzieja, moja Minna. -- Takie moje przeznaczenie -- Takie skutki nieszczęśliwéj gwiazdy. Ale umysł Alberta de Reichstal nie miał już dosyć siły do zniesienia tych nieszczęść. — Upadł bez zmysłów na ziemię, a Alan kazał go zanieść do jego komnaty. — Sam zaś z Wallenszteinem został się przy siostrze. — Za kilka chwil już miała Minna ten świat porzucić. — Już nie dobrze słyszała słowa brata — już nie dobrze rozpoznawała rysy Wallenszteina stojącego przed nią — Zatapiał on wzrok w umierającéj oblubienicy, śledził na twarzy każdą oznakę boleści, uważał najlżejsze jéj poruszenia, ale żadna łza nie zaświetniała w jego oczach, żadne pomięszanie nie wydało się na jego licach — Boleść rozrywała duszę, ale panem był Wallensztein swoich namiętności, i kiedy chciał je ukryć darmo szarpały jego serce, daremnie w piersiach się ścierały: nigdy westchnienie, nigdy ogień oczu, nigdy bladość twarzy go nie zdradziła. Alan drżące siostry ręce trzymał w swoich ręku. W okropnéj rozpaczy prosił ją, aby nie opuszczała téj ziemi jak gdyby mógł człowiek śmiertelny swoją wolą oprzeć się




Odwieczne Lasy w Brazylii.

wszystko niszczącéj śmierci. — Wallensztein zbliżył się do Minny. Alan chciał go odepchnąć.

— Dozwól mu widzieć ofiarę, rzekła dziewica, już się teraz go nie boję. Prawdaż, nie będę jego żoną? zostanę przy ojcu, nie opuszczaj mnie Alanie.

To mówiąc, powstała, zdawała się walczyć ze zgonem, i konając nie przestała mówić o szczęściu. Zbłąkane zmysły stawiały jéj w najpiękniejszych farbach umajone kwiatami łąki, pola rozkoszne, pogodę bez końca, słońce rozlewające czyste promienie; ale nagle zmieniła wyraz łagodności, którego dotychczas boleści nie mogły zatrzeć w jej oczach, na wyraz gniewu i szaleństwa; wyciągnęła rękę do Wallensztеina, ścisnęła jego prawicę. Nieprawdaż? rzekła do brata, pomścisz się na Wallenszteinie mojéj śmierci. Nie prawdaż? utopisz mściwe w jego łonie żelazo Pamiętaj, że on mnie zabił, że on wlał truciznę w moje serce. —

Na te słowa zmięszał się Pułkownik, ale nie oderwał prawicy i nawzajem ściskając rękę dziewicy, jakby go mogła rozumieć:

— Nie ja, odpowiedział, sprawiłem twe nieszczęście, bo świadczę się Niebem, że twoje tylko szczęście miałem na myśli. — Nie usprawiedliwiaj się zawołał Alan przed Minną kiedy już jéj grób się otwiera; zostaw mnie przy siostrze.

Wtém krzyknęła najsroższych cierpień głosem córka Astrologa; nagły rumieniec zastąpił śmiertelną bladość a oczy zaświetniały strasznym ogniem, ale ten ogień do błyskawicy podobny, znikł w téj saméj chwili.

Jeszcze chciała wyrzec pożegnanie Minna, jeszcze jéj usta się otwierały, jeszcze oczy zwracała ku bratu, ale śmierć nie dozwoliła jéj ścisnąć ostatni raz ręki Alana, schyliła głowę, zamknęła powieki i padła bez życia.

W téj saméj chwili wszedł do sali Adalbert de Reichstal; smutek najgłębszy wyrył swe piętno na jego licach; zbliżył się do ciała córki, przy któréj stał Alan, położył rękę na zimnéj twarzy ulubionéj Minny:

To jest Minna de Reichstal, rzekł poważnym głosem, a jestem jéj ojcem i nikt oprócz mnie nie ma do niéj prawa. Jéj ciało po śmierci do mnie należy — Wallenszteinie oddal się ztąd. Idź na wojny i walki, dokonywać świetnego przeznaczenia i zostaw tyle już razy nieszczęśliwego starca.

Nie mam ku tobie żadnéj nienawiści. Sam jestem przyczyną. . . . . Błogosławię ciebie, idź. . . . — Błogosławię! ciszéj powtórzył Alan i na pół dobył pałasza.

— Synu, schowaj oręż! Zostaw nas, to jest: zostaw mnie z córką, a jutro rano czekam ciebie w mojéj komnacie. — Na te słowa ustąpił Alan: ustąpił Wallensztein. — Spojrzenia ich się spotkały, a te spojrzenia wróżyły nieszczęście. — Na czele żołnierzy wrócił Pułkownik. Kilkoma godzinami wprzódy jechał do ślubu, teraz wracał ze spuszczoną głową, ze smutkiem w sercu, wracał od grobu oblubienicy.

C. d. n.

---

## Odwieczne lasy w Brazylii.

Mało już w Europie lasów odwiecznych, o których nuci poeta rzymski:

*„Silva vetus stabat nulla inviolata securi“*
*Las stary stał nietknięty siekierą.*

Pod pewnym względem puszcza białowiezka na Litwie do takich lasów odwiecznych liczyć się może. Za to w Ameryce, szczególnie w Brazylii, wznoszą się jeszcze starożytne bory, których nie tknęła się jeszcze siekiera. Wszyscy wędrowcy jednozgodnie przyznają, że takie lasy mają w sobie coś poważnego, wielkiego, majestatycznego — i nie dziw, wszakżeż to natura taka, jaka wyszła z rąk Stwórcy, bez dodatków ludzi.

Las przedwieczny wspaniały przedstawia widok. Potężne drzewa, strzelające dumnie szczytami w niebios błękity, okryte pnącemi się roślinami, które obsypane są cudnemi kwiatami, liczne zwierzęta, a szczególnie prześliczne ptaki i błyszczące niby drogie klejnoty, owady, smukłe palmy i paprocie, lwiące strumienie, wszystko to zachwyca zabłąkanego w te okolice wędrowca.

Nasz obrazek przedstawia taki las odwieczny, oświecony księżycem. I tu jednakże chciwy łupów strzelec przedarł się w las odwieczny, dziewiczy, ścigając płoche jelenie i antylopy.

---

## Do Pamiętnika Heleny K.

Wspomnienie . . . chwila . . . a my jak dzieci,
Gonim motyla, który uleci;
I gdzieśmy byli, drogi nam kątek,
I z każdéj chwili chcemy pamiątek.

Dzieci my — dzieci! marzymy pięknie! . .
Bańka podleci i w locie pęknie,
Kropnie z niéj łezka i nam z ócz łezka . . .
„Gdzie się podziała tęcza niebieska?“

Och! bo to życie marnych nadziei,
Tęczowych złudzeń i naszéj zmiany.
Nie mówmy o tem . . . . od téj kolei.
Niechby wyjątkiem były — Birsztany.

**Wł. Syrokomla.**

*Uwaga.* Wierszyk ten był napisany r. 1858 w Birsztanach i nigdzie dotąd nie drukowany. Podajemy go z Tygodnika Illustrowanego. Poeta przeczuwa tu niejako zbliżający się kres życia.

---

# ZAPISKI

## E. Calliera.

I.

*Poznań. Kościół Bożego Ciała. Hostje. Żydy. Rok 1399 i 1453. Treter Tomasz. Miedźwiedzki Kaźmirz.*

W trzecim tomie Bielowskiego Pomników dziejowych Polski zamieścił Dr. A. Senkowicz p. n. *De Expulsione Judaeorum* przeprowadzoną pod przewodnictwem inkwizytora, Jana de Capistrano, rozprawę z żydami, którzy pastwili się nad Hostjami, wykradzionemi z kościoła św. Macieja w Wrocławiu, r. 1453.

Niezawodnie dopuszczali się i w innych miejscach żydzi średniowieczni czynów podobnych.

Co atoli zastanowienia godne w sprawie żydów Wrocławskich to pewne podobieństwo z wypadkiem, który o pół wieku poprzednio, bo w r. 1399. zdarzyć się miał, lub też rzeczywiście się zdarzył w Poznaniu. W Wrocławiu przekupują Żydzi stróża kościelnego, który dostarcza im życzonych Hostji; — w Poznaniu dokonywa tego niewiasta, sługa żydowska, matka dorosłéj córki.

Tu i tam otrzymawszy owe Hostje, kłują je żydzi nożami; — krew z nich płynie.

„*Idem Rabi*, opiewa protokół inkwizytora, *cultello eas incidit et statim ex tali incisione ex iisdem hostiis sanguis in altum exiliit.*“

„Żydzi trzy Najświętsze komunikanty nożami przebijają, z których obfita krew wypływa“, mówi Miedźwiedzki, tłumacz odnośnego dzieła Tomasza Tretera.

Przetraszeni żydzi wpadłszy w ręce władzy miejskiéj, przypłacili życiem swą ciekawość.

„Przywiązani do pala, — w Poznaniu, — i wraz z świętokradzką ową niewiastą żelaznemi łańcuchami skrępowani,.... wszyscy potem podłożonym ogniem piekli się i smarzyli, i aby jeszcze większe im przydane było karanie, psy zajadłe i rosłe do nóg ich żelaznemi łańcuszkami przywiązane, gdy upału i gorącości ognia wytrzymać nie mogły, ciało i wszystkie członki ich okrutnemi kalanami, gdy już na siłach omdlewali, szarpały i gryzły.“

Z Wrocławia wypędzono żydów; palono i męczono ich.

„*Quidam baptisare se promiserunt; quidam ex iis ad centum quinquaginta igne consumati sunt et tragoediae per se factae digna supplicia susceperunt.*“

Stróż kościelny, który im dostarczył Hostyi, powiesił się z rozpaczy.

Zdarzenie Wrocławskie zdaje się być stwierdzonem źródłowo i krytycznie.

O zdarzeniu zaś Poznańskiem wątpi dziejopis miasta Poznania, Józef Łukaszewicz.

„Archiwum katedralne, archiwum miejskie, archiwum Grodzkie wszystkie mające dokumenta z téj epoki nie wspominają nic o tem zdarzeniu, — mówi w swym Obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania; *) — podobnež milczenie o tém zachowało archiwum księży Dominikanów, z którego Nowowiejski i Bzowski materjały do dziejów klasztoru księży Dominikanów w Poznaniu czerpali. Długosz uczynił o niem pierwszy ogólną wzmiankę, a Treter szczegóły do niego obszerne *podrobił*, nie wymieniwszy nawet nazwisk osób mających w niem udział.“

Przypuszczam, że Łukaszewicz nie znał zdarzenia Wrocławskiego. Dwa bowiem podobne do siebie wypadki, z których jeden uważa się za autentyczny, wykluczają zdaniem mojem, bezwarunkowe powątpiewanie o wiarogodności drugiego. Sądząc zaś z tytułu dzieła karmelity Tomasza Rera:

„Historya o nalezieniu Ciała Bożego na tém miejscu, gdzie teraz w Poznaniu Kościół Bożego Ciała,“

wydanego po raz wtóry w r. 1583, wnioskować wypada, że przed Treterem pisał o zdarzeniu Poznańskiem wymieniony karmelita, i przypuścić można, że Treter z niego czerpał szczegóły do swego opowiadania.

W każdym przecież razie, czy to Rer czy Treter jest pierwszym co spisał owe szczegóły, poprzeć je trzeba podobnemi do Wrocławskich dokumentami. Pracę tę pozostawiam tym, którym na tem zależy. — Tu, słów kilka poświęcę Miedźwiedzkiego przekładowi, którego tytuł brzmi:

Trzy święte Hostye, w Poznaniu 1399 Roku nożami od Żydów ukłóte. W. Xiądz Tomasz Treterus, Kustosz Poznański, Kanonik Warmiński, przed lat dwoma sty żyjący, stylem Łacińskim opisał. Urodzony Kazimierz Miedzwiedzki, Burgrabia Ziemski Poznański, dla publicznego Oboiey Płci używania, na Oyczysty język Polski, słowo w słowo pilnie przełożył. Wydrukować kazał w Akademii Poznańskiey; Chrystusowego 1772 Roku.

Są atoli egzemplarze, w których tytuł ten poprzedza wiersz p. n. „Jerozolima nowa w Poznaniu, Roku 1399 stała się,“ prawdopodobnie po wyjściu dzieła na osobnéj ćwiartce, odmiennym drukiem wytłoczony i do całości przyczepiony.

Egzemplarze z wierszem tym uważam za rzadkie i dla tego powtórzę go na tem miejscu;

Tu stań mój Czytelniku, a stań przy tem zdaniu,
Tu drugie Jeruzalem w stołecznym Poznaniu,
Tam niegdyś zaprzedany Pan od Apostaty,
Tu zaś od Katoliczki dla marnéj zapłaty.
Tam mu w sklepie, co chcieli, wyrządzali Żydzi,
Tu w tym sklepie Jezusa naród Chama szydzi:
Tam mu oczy szmaciskiem brzydkiem zasłaniali,
Tu nożmi zranionego w szmatę zawiązali.
Tam Krew Święta zbroczyła kolumnę i ziemię,
Tu i ściany Krwią zlało Kaimowskie plemię;
Tam Pan tylko na Głowie ostrem cierniem skłóty,
Tu zaś po wszystkiem ciele nożami popróty.
Tam Longin wzrok odbiera, gdy Krew płynie z Boku,
Tu ślepa uzdrowiona Żydówka na wzroku.
Tam przecię naostatek miał grób Pan nad Pany
Tu od Żydów zajadłych w błocku zakopany.
Ty Boże! jakżeć taką krzywdę nagrodzimy?
Twoję, gdy ciężką mękę w Poznaniu widzimy,
Ty Boże, jakoś sam jest zawsze sprawiedliwy,
Ty wyniszczaj do szczętu ten naród złośliwy!

W niektórych egzemplarzach tego przekładu poprzedza „Historyę“ podane do aktów konsystorskich odnoszące się do Trzech Hostji świadectwo sufragana Józefa Tadeusza z Kiekrza Kierskiego.

Przekładu tego nie znali Bentkowski, Jocher i Wiszniewski

Jocher wykazuje pod Nr. 5872 dzieło, wydane r. 1663 p. n. „Depozyt Ciała i Krwie Jezusowéj i t. d.

Zkąd inąd wyczytałem następujący tytuł:

„Depozyt drogi Ciała y Krwie Jezusowey powierzony y zostawiony ojcom Wielebnym Karmelitom Bożego Ciała w 3 Hostyach w kamienicy Swidzinskiey w mieście Poznaniu od żydów ukłutych.

Nie wiem, w jakim związku stoją powyższe tytuły z wydanem w oryginale łacińskim r. 1609 dziełem Tretera, o przekładzie którego tu mowa.

O dziele Tomasza Rera, wydanem w. r. 1583 wspomniałem już powyżéj.

Pod Nr. 8997 wykazuje Jocher „Poznańską Historyę Cudotwornych onych za Jagiellona jeszcze Świętych Hostji skłutych, najświętszą z nich krwią wytryśnioną.“

Istnieją niezawodnie inne jeszcze monografje zdarzenia Poznańskiego, mniéj jeszcze znane, lub całkiem zapomniane.

Wspomina o nich Miedzwiedzki, tłumacz Tretera, mówiąc w przedmowie swéj:

„Lubo przeszłych wieków wielu *różnemi* językami historję Trzech Naświętszych Hostji w Poznaniu Roku 1399 okrutnie od żydów nożami ukłutych opisywało“ i t d.

Podług Wiszniewskiego przełożył ten sam Miedzwiecki Tretera żywoty biskupów Warmińskich.

# Teatr Ruski Narodowy w Galicyi.

Nader szczupłe posiadamy wiadomości o Braciach Rusinach, choć ten naród słowiański liczy 17 mil. dusz, a zatem przewyższa o wiele liczebnie nas Polaków. My sobie lekceważymy Rusinów, odmawiamy im odrębnéj narodowości, powtarzając frazes: Rodem Rusin, narodem Polak. Widać, że jesteśmy niepoprawni: nie nauczyły nic nas wojny kozackie, ani rzezie humańskie, ani powstanie ludowe na Ukrainie 1854 r. Zgoda z Rusinami jest nam tak potrzebna, jak rybie woda — do téj zgody téż dążyć należy wszelkiemi środkami. Jednym z takich środków jest szerzenie wiadomości o ruchu umysłowym Rusinów. Pisma nasze ciężko grzeszą w tym względzie. Pragniemy podawać w „Lechu“ raz po raz wiadomości szczególnie o Braciach Rusinach, znane atoli niepomyślne stosunki materyalne naszego pisma nie pozwalają wypełnić tego pragnienia. Myśl jedności słowiańskiéj jest dziś w Polsce samotna, biedna, opuszczona, bez poparcia, bez przyjaciół, to téż jéj jedyny organ w polskim języku podobnego doznaje losu. Ale wróćmy do Rusinów. Otóż na dziś podajemy kilka szczegółów o teatrze rusińskim z pisma lwowskiego. „Sztandar:“

„Podnosiliśmy w Nr. 11 „Sztandaru“ zasługi teatru tego w obec literatury i sztuki w ogólności, a w obec stosunków społecznych i narodowościowych kraju naszego w szczególności. Dziś radzibyśmy określić nieco bliżéj repertoarz tego teatru.

Pani T. Romanowicz, nie będąca widocznie zwolenniczką moskiewskiéj fińszczyzny, nie otoczyła się téż chińsko-tatarskim murem, ale zorganizowawszy za pomocą subwencyi krajowéj grono należycie wykształconych artystów dramatycznych oraz muzycznych przyjęła w repertoarz dzieła i dziełka dramatyczne bez względu na narodowość, z której pochodzą. Repertoarz ten jest nader bogaty, i zdołał w bar-

*) Tom II, str. 256.

dzo krótkim stosunkowo czasie wykształcić siły artystyczne ruskie, a zarazem zaanimować publiczność do licznego uczęszczania na przedstawienia. W skutek tego rozbudziła się niebawem i rozbudza coraz to żywsza chęć do tworzenia oryginalnych dzieł dramatycznych, pisanych przez wzrastające siły młodszéj generacyi ruskiéj, niezgangrenowane mongolsko-fińskiemi dążnościami moskalofilów, lecz przeciwnie stojących na gruncie czysto małoruskim.

Treść dramatów tych, czerpana bezpośrednio z życia ludu naszego, oddziaływuje téż nader zbawiennie na umysł tegoż; teatr więc pani T. Romanowicz zeszedł na tory właściwe i wywiązuje się z zadania swego w zupełności.

Z gry artystów nie podnosimy w szczególności żadnéj, gdyż nie piszemy recenzyi przedstawień, ale nadmieniamy, że sumienną pracą i niezaprzeczonym talentem zasłużyli artyści ci na rzetelne uznanie, którego i zresztą licznie na przedstawienia uczęszczająca publiczność hucznemi oklaskami nie skąpi.

Z licznych oryginalnych narodowych dramatów, zasługujących na bliższe rozpoznanie zwracamy uwagę czytelników na melodramat w 5 aktach ze śpiewami p. t. „Tymko Kapral, czyli co nas gubi,“ napisany przez T. Sz. z muzyką Wiktora Matiuka.

Autor uchwycił umiejętnie i nader zręcznie stosunki sielskie kraju naszego wynikłe z zetknięcia się ludu z urlopnikami, żydami i pisarzami pokątnymi, którzy wyzyskując słabej niestety jeszcze niektóre strony sielan, rugują ich za kilka kieliszków wódki z ojcowizny. O ile takie dramata mogą umoralniać i uszlachetniać nasz lud, o tem nawet i mówić nie potrzeba; wszakżeż w dramacie tym, odgrywanym przez trupę pani T. Romanowicz z prawdziwym humorem i taktem należy nam podnieść inną w oczy bijącą zaletę, a mianowicie muzykę pana Wiktora Matiuka.

Kompozycye p. Wiktora Matiuka już nieraz zwracały uwagę publiczności, ale jeszcze nigdy w téj mierze jak w Tymku Kapralu. Swieżość, melodyjność, oryginalność i zastosowanie do przedmiotu dowodzą w kompozytorze niemałego talentu muzycznego. Pan Wiktor Matiuka obecnie alumn 4go roku w Przemyślu, marnieje w téj ciasnéj klatce bez pomocy i zachęty pomimo, że jego kompozycye autodydaktyczne są już znane szerszéj publiczności, a wyrywając się na świat udowadniają, żeby się kompozytorowi pomoc należała. Biedne dziecko ludu o genialnym nawet umyśle, nie znajdzie wszakże u nas tak łacno pomocy, mianowicie gdy się nie spodli, a wpadnie między obskurantów 19. stólecia.

Bezpłatni nawet lokatorowie „Narodnego domu“ marnujący fundusz tegoż na wszystkie osobiste zachcianki, nie mogą naturalnie „turbować“ się o jakichś tam komedyantów i muzykantów hasających przed motłochem, do nich téż nie ma co nawet i udawać się o pomoc dla kompozytora — nie Mongoła — ale znana z humanitarnych celów i znająca swe obowiązki „*Proświta*“ — winnaby zwrócić uwagę na pana Wiktora Matiukę, wydostać go bezpośredniemi i pośredniemi sposobami z jego obecnego położenia, wysłać na koszt własny lub uzyskany koszt krajowy do jakiego konserwatoryum muzycznego i tym sposobem wzbogacić świat nasz artystyczny jedną genialną siłą więcéj, która w przeciwnym razie albo zupełnie zmarnieje, albo się z czasem spaczy pod naciskiem żywiołu antinarodowego, lub nieuchronnéj zmudy codziennego życia.“

---

# Wiadomości Literackie.

**Z życia Polaków po świecie.** (Opowiadania i obrazki). Serya I. Tom I. Pod powyższym napisem wydał p. Feliks Kozubowski w Cieszynie nakładem K. Malika zbiór powieści i opowiadań. Tom I. zawiera: Chwila wiary. Z życia żołnierza francuskiego. Przygoda naszego kapitana. Czy za późno? Podług sumienia. Książkę tę usilnie czytelnikom polecamy.

**Bajki Krasickiego po czesku** wyszły w Pradze nakładem Fr. A. Urbanka pod tytułem: Kytice z Bajek Krasického. Pro mládež česko-slovanskou z polštiny uvil Fr. M. Vrána. Druhe rozmnožené vydani.“ Cena 30 centów. W końcu dodany krótki życiorys Krasickiego. Przekład jest wierny i piękny. Przytaczamy, dwie bajki po polsku i czesku:

| *Ptaszki w klatce.* | *Ptáčkowé v kleci.* |
|---|---|
| Czegoż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody, | „Proč pak pláčeš“ starému pravil čížek mladý, |
| Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody! — | „V kleci jídla dosti maš, v“ poli zmiral s hlady;“ |
| Tyś w niéj zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę; | „Tys v ní zrozen, starý dí, v tom se všecko zračí; |
| Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę. | Ja byl volný — v kleci dnes proto nyní pláčí. |

| *Woły krnąbrne.* | *Tvrdošíjní voli.* |
|---|---|
| Miłe złego początki lecz koniec żałosny. | Mily jsou zla počátky, ale konce děsny. |
| Nie chciały w jarzmie chodzić woły podczas wiosny, | V jařmě, chodit nechtěli voli po čas vesny. |
| W jesieni nie woziły zboża do stodoły; | Nevozili v jeseni zboží do stodoly — |
| W zimie chleba nie stało, zjadł gospodarz woły. | V zimě chleba nebylo — hospadař snědl voly. |

---

## „Telefon“ Lecha.

*Do Gr.* Za błąd w tytule przepraszamy. Podajemy dziś jeszcze raz tytuł bez błędu: „*Krótka Grammatyka Polska. Dla uczącéj się młodzieży w sposób łatwy i przystępny opracowana przez Teofilę Radońską.*“

*N. w Obrze Arya,* „*Pamiętasz mówił rotmistrz do żołnierza*“, o któréj jest wzmianka w powieści Wilkońskiéj: „*Dwa Śluby*“, umieszczonéj w I roczniku „Lecha“, nie wiemy gdzie była drukowana. Posiadając jednak odpis umieścimy w naszém piśmie, gdyż zajmie zapewne i innych czytelników. Jestto naśladowanie sławnéj na cały świat fracuzkiéj piosnki: „*Te souviens tu*“. —

Dwa są utwory: „*Do Matki Polki*“, Mickiewicza i Gaszyńskiego, o Wielogłowskim nie wiemy, czy napisał wiersz pod tymże tytułem.

*Pod Gniezno.* Książkę Grahama: *O czystości obyczajów*, w tłumaczeniu F. Kozubskiego, polecamy usilnie. Można się z téj książki wiele, bardzo wiele nauczyć. Rodzice, opiekunowie i nauczyciele, którym dobro powierzonéj im młodzi istotnie na sercu leży, powinni tę piękną pracę studyować. Czystość obyczajów! jakie to wielkie słowo A jakie dziś panują obyczaje? Na dowód pożyteczności wyżéj wymienionéj książki, podajemy z niéj następujący szczegół: „Jednym z występków podkopujących powoli, ale wytrwale nasze polskie społeczeństwo (co nas kiedyś z pewnością, pod względem zepsucia obyczajów, zrówna z zachodem Europy) — jest głupia a tak rozpowszechniona u nas słabostka powierzania dzieci pierwszéj lepszéj kobiecie, byle była Francuzką, Niemką lub Angielką. Gdyby rodzice tak jak tłumacz niniejszéj pracy, mogli byli przekonać się naocznie i na miejscu, jakie to po większéj części dziewczyny ruszają w świat daleki, jakie przechodziły pierwéj w swym kraju koleje, nim wpadły na myśl uszczęśliwienia naszéj biednéj ziemi swą. . . *wiedzą* — ze wstrętem porzuciliby ten grzeszny wobec kraju system chowania swych dzieci, a głównie płci żeńskiéj. Czyż dla rodziców, a polskich jeszcze, może być większy skarb nad to potomstwo, które potem ma być podporą kraju — podwaliną przyszłéj jego wielkości? I ten cenny przedmiot — te perły, któremi ozdobić należy jutra koronę, komuż to powierzają? Dziewczętom więcéj nieraz niż dwunastego prowadzenia się, wstrętnym istotom, których całą zasługą że paplają jak papugi. Sam w pewnym domu w Kaliskiem, spotkałem bonę Angielkę do dwóch dorastających już panienek — bonę, która w 1871 r. co dzień włóczyła się wieczorem po Essex-Road w Londynie. A nienarażę tu nikogo, wyznawając szczerze, iż obie uczennice téj nieszczęśliwéj, zastałem już w ścisłéj ze swą nauczycielką zażyłości i zupełnie we wszystko . . . . wtajemniczone. Smutne to, ale — prawdziwe niestety!“

---

**Treść 29 nr. Lecha:** Prośba o pomnik dla Słowackiego i Krasińskiego w Poznaniu. Grób rodziny Reichstalów. Powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniéj. Przez Z. Krasińskiego. Odwieczne lasy w Brazylii (z ryciną). Do Pamiętnika Heleny K. Wiersz Wł Syrokomli. Zapiski Calliera I. Teatr ruski narodowy w Galicyi. Wiadomości literackie. „Telefon“ Lecha.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.